Młody Las

STYCZEŃ
1 9 3 9
Numer 10



Od wawelskiego dworca
zjechała Kinga królowa.
Lśni słońce na proporcach
i w srebrnych świeci podkowach.

Kazała kopać studnię
na rynku w maleńkim mieście.
Kilofy w studni dudnią:
sól wyłamują — w niej pierścień.

Pierścień zrękowinowy
poznaje wraz król zdumiony.
Skąd w bryle lśni surowej
z brylantów pierścień mej żony?

Ten pierścień — Kinga rzecze —
wrzuciłam, królu i panie,
w Węgrach do solnych pieczar,
które mi ojciec dał w wianie.

Nie wzięłam nic ze skarbca:
o sól prosiłam w pokorze —
i oto dziś zza Karpat
sól Polsce w wianie przywożę.

Do wawelskiego dworca
powraca Kinga królowa.
Lśni słońce na proporcach
i w srebrnych świeci podkowach.

Józef Aleksander Gałuszka

Królewski dług

Sławetny burmistrz miasteczka Wieliczki i zarządca królewskiej żupy obojga soli, bocheńskiej i wielickiej, signor Prosper Provana, siedział w swojej świetlicy i mocno się głowił. Oto otrzymał pismo z królewską pieczęcią, z podpisem króla jegomości Stefana Batorego z żądaniem, żeby zechciał się wyliczyć z dochodów żupy wielickiej, rachunki przedłożyć, udokumentować je należycie.

Przez otwarte okno sączyło się do świetlicy brzęczenie pszczół, słodkie gędziolenie ptaków i daleki gwar ludzki.

Signor Prosper Provana odłożył gęsie pióro i zasłuchał się w tamte głosy. I z ulgą zmiarkował, jak tamte pszczoły za oknem krzątają się koło swego miodobrania, tak i jego gwarkowie mozolą się w tej chwili pod ziemią, łupią zwały soli, zwożą na taczkach sztolniami, bachmistrze zaś i sztygary popędzają ich żwawo, żeby urobek był szczodry. Z wieży szybowej zaś dochodzi suche skrzypienie kołowrotów, chrobocą drewniane szufle koło czterech pauwi w warzelni, parskają konie i hałasują ludzie.



Uśmiechnął się z ulgą, w myślach bowiem ujrzał się podobnym do pszczelnej królowej. Rychło się jednak zachmurzył, bo przypomniał sobie, żeć trudno mu będzie uiścić królowi jegomości barkaft z żupy wielickiej.

Nachylił się przeto nad pergaminem i znowu jął rozmyślać, kreśląc cyfry przeróżne.

Skrzypnęły znienacka ciężkie drzwi, do świetlicy wsunął się pacholik.

— No, co? — mruknął niechętnie signor Prosper Provana.

— Przybysz jakiś domaga się rozmowy z waćpanem, mości żupniku...

— Przybysz? Kto taki? Nie wiem, mości żupniku!... Italczyk jakiś lub cygan... Czarny na gębie, łeb pełechaty...

— Italczyk? — zdziwił się burmistrz i znów się uśmiechnął. Może to z Florencji, albo może z któregoś miasta piemonckiego, z jego ojczyzny?... A może z samego Turynu?... Święta Madonno!... Może z samego Turynu?...

— Niech wejdzie! — rzucił skwapliwie i wstał spoza stołu. Serce dygotało ze wzruszenia.

Zniknął pacholik w ciemnej sieni, potem znowu otworzyły się drzwi, na progu stanął smukły, opalony młodzian. Stoi teraz przy drzwiach, wciąż mrugający powiekami, w podartej odzieży i widać znużony daleką drogą, bo opiera się plecami o ścianę. Czarna czupryna, młoda twarz orli wąski nos, zaciśnięte usta i hardość w ciemnych dużych oczach przypomniały żupnikowi jego syna Leonarda, co gdzieś w świecie zaginął.

— Tyś Italczyk? — zapytał go w swojej mowie.

— Tak, łaskawy podesto! — odrzekł tamten również po italsku. Głos jego był dźwięczny.

— Z Torino?

— Nie. Z Florencji...

Żupnik westchnął nieznacznie.

— Po co przyszedłeś? — zapytał znowu.

— To długa historia... — rzekł tamten i obejrzał się nieufnie.

— Możesz mówić! Nikt nas tu nie zrozumie. Zmęczonyś?... Siadaj na ławie... Albo nie!... Do drugiej izby proszę!... Chodź! — mówił żywo żupnik, nie mogący pohamować swego uradowania, że widzi przed sobą człowieka ze swojej ojczyzny. A może ma wieści jakoweś o zaginionym Leonardzie?

Przeszli do drugiej izby, usiedli.

— Ktoś ty? W jakiej więc sprawie przybywasz? — zaczął żupnik.

— Jam Bartolomeo. Potomek Gotfryda Fattinanti de Janua z Genui... Tego, co był podestą krakowskim i żupnikiem królewskim... A któremu król polski, Władysław Jagiełło, 1205 grzywien groszy praskich został winien...

Zdumiał się signor Prosper Provana, gdyż znowu słyszy o tamtym długu królewskim. Wszak on to właśnie znalazł

stary dokument w skrzyni zamczystej na ratuszu wielickim. gdy burmistrzem został mianowany. Dokument był dziwny i niezrozumiały. O jakimś długu królewskim mówił. Że złożony w kopalni wielickiej. Syn Leonard noce nad nim spędzał... A potem przepadł wraz z dokumentem... Dziwne rzeczy!...

— Mów przeto wszystko!... — rzekł żupnik. — Pomocy jakowej pragniesz?

— Pomocy...

— Mów przeto!

Bartolomeo nachylił się nad stołem do żupnika Prospera Provany i zaczął mówić. Wędruje już od dwóch lat do chłodnej polskiej krainy. Gdzie on nie był!... I w Austrii, i nad Renem, potem w Pomeranii gdzie bursztynem handlował. Szedł nieraz o głodzie, samotny i opuszczony. Pracował w kopalniach rudy żelaznej, srebrnej i miedzianej. Przeszedł wysokie Alpy, przewędrował nieurodzajne piaski brandenburskie, dygotał z zimna nad szarym, chłodnym morzem Bałtyckim. Potem szedł urodzajnymi łanami polskimi. Poznał różne kraje, poznał wiele ludzi. Ludzie byli hardzi i źli, łagodni i życzliwi. Jedni odpędzali go od progu, kiedy mu głód dokuczał, drudzy przygarniali do siebie...

— No, dobrze już, dobrze!... — przerwał mu niecierpliwie Prosper Provana. — Lecz cóż z tym długiem królewskim?

— Proszę słuchać, łaskawy podesto!... — rzekł Italczyk i znowu jął opowiadać. Oto w Olkuszu srebro kopał. Tak!... Srebro!... Lecz niedługo woda zatopiła jego żyłę srebra, on zaś ucieczką ratował swoje życie w sztolni. To wszystko...

— No i co? — zapytał Prosper Provana, nie spuszczając oczu z Bartolomea.

— Wszystko więc straciłem, przeto dzisiaj przychodzę po swoją spuściznę, łaskawy podesto!..

— Jaką spuściznę?

— Mówiłem już!... Po ten dług, co król Władysław Jagiełło mojemu przodkowi nie zwrócił.

— Głupiś, Bartolomeo! — rzekł Prosper Provana. — Wszak już temu blisko 150 lat, jak Władysław Jagiełło umarł. A jak mi wiadomo skądinąd, twój przodek Gotfryd Fattinanti de Janua z Genui... Boże, świeć jego duszy sprawiedliwej!... jak mi wiadomo, umierając, w testamencie sumę tę przekazał katedrze przemyskiej, za co po wieczne czasy msze święte miały być odprawiane za króla Kazimierza Wielkiego, za Ludwika Wielkiego, za Ludwika Węgierskiego z Andegawenów, za królowę Elżbietę, oraz za jego duszę... Nie ma więc tutaj żadnych pieniędzy... Chociaż był drugi dokument...

— Jaki?... Jaki dokument?

— Eh... nie warto!...

— A gdzie on?

— Zaginął!... Wraz z moim synem Leonardem zaginął!...

— Czy był podobny do tego? — zapytał prawie szeptem Bartolomeo, wyciągając zza pazuchy zwitek pergaminowy. Rozwiązał włókno, roztoczył przed żupnikiem, położył na stole.

Schylił się żupnik, wpatrzył w wyblakłe litery i znaki. Nie, to nie ten!... Lecz podobny. Bardzo podobny!... Zwłaszcza te znaki jakoweś niejasne...

Gustaw Morcinek

(Dokończenie nastąpi)



Cudowny obłok

Podejrzliwe usposobienie miał Żelisław, dworzanin księżnej Grzymisławy. Zawsze wolał złych rzeczy dopatrzeć się w ludziach, niźli dobrych. Do Korczyna, na dwór Grzymisławy zjechała młoda jej synowa, księżna Kinga. Przybyła z Węgier. Z podełba przyglądał się starzec nowoprzybyłej, o której cnotach i zaletach wiele prawiono wkoło. Pono młoda księżna, czy to latem, czy zimą do kościoła chadzała boso, wiele czasu na modlitwie trawiąc.

Różnie mówił o tym dwór. Jedni chwalili pobożność Kingi, drudzy kręcili głowami, uważając za niepotrzebne takowe praktyki. Do tych drugich należał Żelisław. Postanowił on przekonać się, w jakim to celu Kinga wykrada się nocą albo nad ranem z zamku.

Zaczaił się raz przed świtem koło bramy. Zima była sroga, gałęzie trzeszczały na mrozie, wicher pogwizdując, dął uporczywie. Wtem przy świetle migocącej pochodni, dojrzał stary wojownik jakąś postać, która minęła go bezszelestnie. Była to młodziutka księżna Kinga, okryta lichą opończę, na którą zarzucony był dostatni płaszcz. Drobne, bose stopy księżnej brnęły w śnieżnych zaspach. Żelisław posuwał się za nią niepostrzeżony, w niejakiej odległości. Kinga zamierzała w stronę kościoła. Uklękła na śniegu przed zamkniętymi wrotami kościelnymi.





złożyła dłonie a oczy wzniosła ku szarzejącemu niebu. Powstała z klęczek — i nagle Żelisław zdumiał się niepomiernie.

Wrota rozwarły się, jakby pod dotknięciem niewidzialnej ręki i bosa księżna wkroczyła do wnętrza świątyni. Staremu rycerzowi uczyniło się nijako. Może to wicher gwałtowny rozwarł drzwi, a może dokonały tego moce niebieskie. Nie śmiał postąpić krokiem. Po dobrej chwili ukazała się ponownie Kinga. Drzwi zamknęły się same za nią a księżna pospiesznie ruszyła przed siebie. Onieśmielony dworzanin zdążał za idącą, która wreszcie zatrzymała się koło jakiegoś domostwa. Zastukała w okno, które otwarło się niebawem. Wtedy Kinga zdjęła z siebie płaszcz i podała go niewieście, stojącej za oknem. Za węgłem stojąc, słyszał Żelisław dziękczynienia niewiasty, których Kinga nie słuchała, lecz przymknąwszy śpiesznie okno, ruszyła z powrotem. Naraz zatrzymała się, następnie uskoczyła, chroniąc się za przydrożnym drzewem.

Od strony zamku biegło kilku pachołków. Najstarszy z nich, dojrzawszy Żelisława, zbliżył się doń.

— Czego tu chcecie o tak wczesnej porze? — zagadnął stary wojownik.

— Proszę waszej miłości, księżnej Kingi szukamy. Pani nasza, Grzymisława, niespokojna wielce, w domu jej nie zastawszy, poleciła nam ją znaleźć.

Żelisław rzucił okiem mimowoli na drzewo, za którym znajdowała się księż-

na. Przetarł oczy, osłupiony. Koło smukłej postaci książęcej unosił się obłok, zakrywający ją coraz bardziej. Chyba to wicher wzbił kłąb śniegu... a może...

Pachołkowie oddalili się. Obłok począł się unosić nad zmarzłą ziemią. Darmo wypatrywał rycerz postaci Kingi. Jeno obłok szedł szybko w stronę zamku. Postępował za nim struchlały Żelisław. Obłok rozwiewał się, ledwie widoczne były jego zarysy. I tak minął on straże zamkowe aż zniknął za drzwiami dworskich komnat.

Stroskana Grzymisława czekała na powrót pachołków. Znajdąli jej synowę czy nie... Nagle dostrzegła Kingę przed sobą.

— Jakże... to ty w zamku?... mniemałam, żeś wyszła — zawołała rozradowana, poczem skinęła na ochmistrza: każ aby poszukiwań zaniechano. Nasza młoda księżna zamku nie opuściła. Dało się słyszeć pukanie i do komnaty wszedł Żelisław. Skłonił się niewiastom.

— Słyszałem księżno, że synowej waszej kazaliście szukać. Widzę aliści, że ona tu, we własnej osobie.

— Dziękuję, stary, że chciałeś mi dopomóc — odparła łaskawie Grzymisława. Teraz nam pora o posiłku pomyśleć.

Wyszła z komnaty a wówczas rycerz ukląkł przed Kingą.

— Niech waszeć nie klęka — odezwała się Kinga. Jeno przed świętymi wizerunkami czynić to przystoi.

— Widziałem, jakoście się do domu dostali — rzekł Żelisław. Słowem nie rzeknę nikomu, ale skoro opieka niebieska nad wami, czemu kryjecie się ze swymi uczynkami? Nie sąż one godziwe? Obłokiem je zakrywać należy?

Kinga uśmiechnęła się.

— Niech nie wie lewica, co czyni prawica.

— Tedy kryć się należy z niesieniem pomocy nieszczęśliwym? Wszak ci to dobry czyn!

— Nie trzeba przechwalać się tym, a raczej czynić to pokryjomu. Powiadacie: dobry uczynek. A ja to za najprostszy obowiązek uważam.

Żelisław, ucałowawszy rękę księżnej, opuścił komnatę. Czas jakiś nie zwierzył się nikomu, jakiego cudu był świadkiem. Lecz gdy razu pewnego, któryś z dworzan począł we wątpliwość podawać pobożność Kingi, stary rycerz nie zdzierżył i opowiedział, jakto drzwi kościelne same przed księżną się otwierały i jak ją obłok zakrył.

Pamięć o tych zdarzeniach przetrwała aż do naszych czasów.

Adam Wierusz



Kościół i klasztor Bł. Kingi w Starym Sączu.

Ilustracje wyżej umieszczone przedstawiają ślub Bł. Kingi z Bolesławem Wstydliwym oraz ołtarz Bł. Kingi.

IMIENINY P. PREZYDENTA

(Obrazek sceniczny w jednym akcie.)

Osoby: Alinka, Bronia, Cesia, Janek, Karolek, Grześ, Nauczyciel, uczniowie uczennice.

(Scena przedstawia izbę szkolną w czasie pauzy.)

ALINKA: Koleżanki! Koledzy! Nadchodzi dzień święta!

BRONIA: Jakiż to?

ALINKA: Co? Nikt nie pamięta?!

JANEK: Ja wiem, o czym myślisz. — Pana Prezydenta imieniny!

ALINKA: Właśnie! przypadają przecie — Pierwszego lutego. Wszakże o tym wiecie.

CESIA: Wiwat! Będzie wolne!

ALINKA: Wstydźcie się leniuszki! — Do próżniaczej więc jesteście zdolne — Jedynie radości?

BRONIA: Wcale nie jest tak źle. Wszak uroczystości obchodzimy chętnie.

CESIA: I tę urządzimy — Wspaniale, prześlicznie! — Już my obmyślimy coś nadzwyczajnego!

BRONIA: Coś niebywałego!

CESIA: Doradź, Alinko! Tyś nie bita w ciemię.

ALINKA: Możeby poważną zrobić Akademię? — Najpierw chór zaśpiewa, potem deklamacja...

JANEK: To już nieraz było.

ALINKA: Ano, — i to racja. — Więc może coś innego?

CESIA: Koncert uroczysty?

KAROLEK: Oj nie! Nudny będzie, nonsens oczywisty!

BRONIA: No, to może urządzić — wieczór artystyczny?

JANEK: Skądże wziąć artystów?

KAROLEK (ironicznie): No, byłby on śliczny! — Ale też pomysły mają dziewczęta!

BRONIA (urażona): Nienajgorsze. Pomyślcie: jest orkiestra dęta — Może zagrać marsza. Cesia ładnie śpiewa — Grześ odczyta swe wiersze...

KAROLEK (wpada jej w słowo): ......a publiczność ziewa! — To się nie uda. Będzie nudna piła.

BRONIA: Cóżbym ja innego jeszcze



Fot. Ag. »Światowid«

wymyśliła...? — A gdyby tak pochód z piosenką na ustach?

KAROLEK: Nie bawią mnie pomysły koleżanek.

JANEK: I mnie.

GRZEŚ: Ja również, tak samo jak Janek.

BRONIA: Więc powiedzcie, czemu pochodu nie chcecie?

BRONIA: To także pomysły dawno oklepane!

ALINKA (wzdychając): Ciężko coś wymyślić. Już mnie rozpacz bierze!

KAROLEK: O ileż szczęśliwsi są od nas żołnierze!

JANEK: Jak ty to rozumiesz?

KAROLEK: No, bo defilada — Zawsze się podoba i pięknie wypada.

ALINKA: Słuchajcie! Z tym wszystkim — nie macie słuszności. — Mogą być wspaniałe te uroczystości. — Byle staran nie były urządzane, — Będą podziwiane i oklaskiwane: — Akademia, wieczór, czy pochód, czy taniec... — Lecz mnie się wydaje, że to wszystko mało. — To przecie głowa Państwa — Narodu wybraniec! — Coś więcej by mu się od nas należało.

JANEK: Aaa... Brawo Alinko! To mi się podoba! — Z naszej koleżanki rozumna osoba! — Pan Prezydent Polski —

to człowiek uczony. — Połczył w nauce zasługi niemałe. — Winien też stosownie być przez nas uczczony — Przez jakieś wysiłki, — jakieś... prace trwałe..., — Z których by pożytek dla Polski wypływał.

ALINKA: Janek od początku mało się odzywał — Ale coś tam sobie widać ważył w głowie! — Można mu zawierzyć. — Już co on nam powie, — Pomyślane będzie na pewno rozważnie.

WSZYSCY: Wytłumacz nam Janku! — Słuchamy uważnie.

JANEK: Ogromnie mi trudno wyjawić me chęci... — Chcę, byśmy miłością do Polski przejęci — Tak jak Pan Prezydent nauce służyli — I przez to Ojczyźnie użyteczni byli.

BRONIA: Tak, ale nie każdy ma tyle zdolności...

JANEK: Niech każdy pracuje wedle swych możności, — Ale niech nie żałuje sił, ani roboty!

KAROLEK: Wielkiej do twoich planów nabieram ochoty!

GRZEŚ: Ja także!

BRONIA I CESIA: I my też!

ALINKA: Tylko nie rozumiem — Jak to zrobić? — Przecie — ja tak mało umiem!

JANEK: Nasz pan nauczyciel może nam doradzi — Jak się wziąć do tego. — Spytać nie zawadzi.



KAROLEK: O, właśnie nadchodzi...

NAUCZYCIEL (wchodząc): Dzień dobry, dziewczęta! — Dzień dobry, chłopaki! — Cóż tam?

JANEK: Proszę pana — Spieramy się tutaj od samego rana... — Szło o imieniny Pana Prezydenta.

NAUCZYCIEL: Chcecie — by obchodzone były uroczyście?

JANEK: To — swoją drogą.

GRZEŚ: Pewnie!

ALINKA: Oczywiście!

JANEK: Lecz to nie wystarcza, bo my też pragniemy — Polsce się przysłużyć, ale jak? — Nie wiemy! — Bo przecie nie każdy dokaże tej sztuki — By jak Pan Prezydent być mężem nauki. — Jak tego dokonać mogą szkolne dzieci? — Może nam pan pokaże sposoby właściwe... — Chętnie tak zrobimy, jak nam pan zaleci.

NAUCZYCIEL: Dzieciaki serdeczne! Dzieciaki poczciwe! — I wy też niemało dokazać możecie — Jeśli tylko silnie, całym sercem chcecie.

WSZYSCY (chórem): Chcemy! O, tak! Chcemy!

NAUCZYCIEL: A więc posłuchajcie! — Przede wszystkim, dzieci, o swą szkołę dbajcie! — To źródło nauki. — Do niej przywiązanie — Pierwsza moja dla was rada i wskazanie. — A druga zaś taka: Wiedzę zdobywajcie — Wytrwale, usilnie, nie ustając w trudzie. — Ojczyźnie potrzebni oświeceni ludzie! — Gdy szkołę skończywszy, stąd się rozejdziecie — Czy po polskiej ziemi, czy po całym świecie — Wiedza tu zdobyta pomocną wam będzie — W kraju, za granicą, za morzami, — wszędzie! — A Polak tak w domu, jak i na obczyźnie — Nigdy nie przestaje myśleć o Ojczyźnie. — Dla niej on przetrzyma i najcięższą próbę — Przynosić Jej winien pośród obcych — chlubę. — Trzecia wskazówka: żebyście wzajemnie — Pomagali sobie. — Wszak między wami — Zdolni — i niezdolni. — Jedni nadaremnie — Tracą czas, nie mogąc zdobyć wiedzy sami — Stąd przykrość, złe stopnie, nauczyciel łaje... — A gdy w domu bieda — na lekcje nie staje. — Drugim znowu łatwo przychodzi nauka! — Niech

każdy zdolniejszy kolegę wyszuka, — Którym się zajmie, objaśni, pomoże...

JANEK (z zapałem): Chętnie to zrobię! I starań dołożę — Aby mój kolega zyskał dobre stopnie.

NAUCZYCIEL: Jeśli mu pomożesz — łatwo tego dopnie! — Za twoim przykładem pójdą może inni. — Wszak chyba jesteście na tyle uczynni?

ALINKA: O, tak proszę pana! — Ja na siebie biorę — Te dwie koleżanki, które były chore — I w szkole nie były przeszło od tygodnia. — Będę chodzić do nich i uczyć je co dnia.

KAROLEK: Ja też chcę kogoś uczyć. Nie chcę zostać w tyle!

NAUCZYCIEL (z uśmiechem): Wszyscy, jeśli się nie mylę. — Pięknie moi drodzy! Cieszę się ogromnie. — Więc kto chce, niech przyjdzie jutro wieczór do mnie. — A ja już obmyślę, kto ma uczyć kogo. — Idąc — drogie dzieci tą szlachetną drogą — Przysłużyć się można wielce dobrej sprawie — I naukę popierać, będąc uczniem nawet. — To jest najpiękniejsza droga, — Moi chłopcy i dziewczęta — Pracować dla bliźnich, Ojczyzny, Boga! Fr. Konarska.



Sporty zimowe



— Wiesz Stasiu, że ja czekałam z bijącym sercem pierwszego śniegu. Takie wspaniałe girlandy tworzą się na drzewach, i takie dziwaczne z tego postacie. A pomyśl tylko, jak biedne byłyby roślinki, gdyby mróz chwycił na dobre, a śniegu jeszcze nie było. Zmarzły by napewno, a co gorsze jeszcze, ziemia pękając na mrozie rozrywałaby korzonki.

— No, ale przyroda sama broni się przed tą okropną możliwością zniszczenia roślin, a przede wszystkim ozimin, okrywając ziemię płaszczem śnieżnym, zanim jeszcze mrozy chwycą ją w swe kleszcze — dodał poważnie Staszek.

— Jednak zima ma swój urok — szepnęła Zosia. — Tak bardzo lubię się wpatrywać w czar przyrody zimowej.

— Nic łatwiejszego. Śnieg duży. Weź sanki w ręce i udaj się na tamto wzgórze. Nie tylko widok stamtąd przepiękny na całą okolicę, ale także wspaniałe zjazdy saneczkowe. W ten sposób nasycisz oczy i odniesiesz korzyść dla zdrowia.

— Ależ Stachu, przecież Krysia jest jeszcze malutka, i może się przemęczyć, wychodząc pod górę po takim śniegu.

— Nie obawiaj się. Przy saneczkowaniu rozsądnym nie ma mowy o jakimkolwiek zmęczeniu. Przede wszystkim, nikt was nie pędzi i nie wymaga od was rekordów. Gdyby nawet czuła lekkie zmęczenie, idąc pod górę, to napewno odpocznie sobie zjeżdżając na sankach. Może nie wiesz, że zjeżdżać mogą już dzieci od trzeciego roku życia. Staruszkom także ten sport nie zaszkodzi. Za kilka lat, Zosienko, będziemy mogli uprawiać saneczkarstwo jako sport wyścigowy na torach odpowiednio zbudowanych. Zawsze jednak należy być ostrożnym, gdyż o wypadek nie trudno — dodał Staszek, wspo-

minając wypadek z wystającym korzeniem, na który najechał kilka dni temu u znajomych w górach.

Kilkudniowy pobyt w górach przypomniał Staszkowi inny jeszcze piękny sport zimowy.

— Ja, jako czternastoletni chłopiec, już dobrze jeżdżę na nartach, zaczął z pewną przechwałką. Niedługo już zacznę urządzać większe wycieczki w góry. Widziałem niedawno oddział wojska na nartach. Wspaniały widok! Mówili mi, że to bardzo pożyteczne. Stosują narty do służby łączności, do zwiadów itd. Sądzę, że o wiele bezpieczniej i wygodniej jest dostać się uczniowi na wsi do szkoły w zimie, kiedy drogi zawiane i ani śladu po nich nie zostało. To samo odnosiłoby się do robotników fabrycznych, którzy w lecie jeżdżą na rowerach. W zimie mieliby krótszą drogę, bo nartami naprzełaj.

— Wczoraj tatuś opowiadał mi, wtrąciła Zosia, że na kanałach holenderskich i na skandynawskich jeziorach, wszyscy jeżdżą na łyżwach. Nawet kobiety na targ w ten sposób dostają się do miasta. No a przecież wiesz, Stachu, że w północnej Polsce mamy dużo jezior. Gdyby to i u nas weszło w zwyczaj! Zbyt jednak głęboko tkwi w nas obawa przed możliwością załamania się lodu. Mnie lód ciągnie do siebie, a przede wszystkim podoba mi się jazda figurowa, ciągnęła dalej Zosia, patrząc na zamyślonego Stacha, który nagle przerwał jej wywody.

— Ja mimo wszystko wolę narty. Łyżwiarstwo jest przede wszystkim ćwiczeniem nóg i ćwiczeniem równoważnym. Dlatego przynosi mniejszą korzyść niż narciarstwo, tak nam pan powiadał na gimnastyce, a ja podzielam jego zdanie w zupełności. Większe zainteresowanie wzbudza już we mnie gra w piłkę na lodzie, tzw. hockej, lecz gra to jest trudna i bardzo nużąca. Narty dają możność pracy nie tylko wszystkim członkom, lecz także nie pomijają tułowia, a ponadto, pozwalają na zwiedzenie tych terenów, które są w lecie zupełnie niedostępne.

— Tak bardzo zachwalasz ten sport, a przecież wielu jest takich, którzy zawdzięczają mu tzw. garb narciarski — oburzyła się Zosia.

— Ah, to tylko przesadna praca kończyn górnych, oraz bardzo skulona pozycja przy zjazdach, są powodem tego garba. W normalnych warunkach sport ten jest doskonałym ćwiczeniem oddechowym, a zjazdy wyrabiają odwagę, zaś wycieczki narciarskie kształtują wolę wytrwania i karność.

Joanna Sędzik-Kłapkowska





Sanki, narty... Fot Schabenbeck

Hokej Ag. Światowid



U Boskiego Dzieciątka

— Witam po miłych wakacjach! — cieszył się ksiądz Prefekt, spoglądając na radosne twarzyczki swoich młodych »liturgistów«.

Zapał tryskał im z oczu i widoczne było, że przynosili z wywczasów świątecznych dużo wrażeń i nowych pytań.

— Proszę księdza, dzisiaj dopiero będziemy mieli o czym rozmawiać! — zatarł ręce Józek. — Tyle świąt, tyle obrzędów!...

— A jakie prześliczne! Pasterka, żłóbek, kolendy... — zachwycał się Jurek.

— Ja też najchętniej chodzę do kościoła na Boże Narodzenie — przyznał się cicho Władek.

— Bo grają kolendy, co? — poderwał go uszczypliwie Staszek.

— Nie tylko — odrzekł napadnięty — ale mam nabożeństwo do Dzieciątka Jezus.

— Prawda, prawda! Władek ma przecież w domu najpiękniejszą szopkę. Sam widziałem, jak pouczał przed nią swego młodszego brata i siostrzyczkę — ujął się Józek.

— Ogromnie się cieszę — odezwał się ksiądz, słuchający dotąd tej samorzutnej, ożywionej rozmowy. Jak widzę, to wszyscy uczęszczaliście chętnie do kościoła.

— O tak! — odezwała się tym razem zgodnie cała gromadka. — Wielu z nas służyło nawet do wszystkich trzech Mszy św. na Boże Narodzenie — jak mi o tym opowiadali — wystąpił w imieniu wszystkich Józek, prezes Kółka.

— A nawet — proszę księdza, — Józek urządził przed przybyciem tutaj taki mały egzamin — zdradził tajemnicę Staszek.

— Byłbyś cicho! — oburzył się prezes.

— Nie szkodzi — rzekł ksiądz. Jestem z tego bardzo zadowolny. Udał się, Józiu, egzamin?

— Owszem. Chłopcy czytali o Bożym Narodzeniu w rozmaitych pismach.

— Więc dobrze. Chciałbym porozmawiać dzisiaj o tym, o czym już rzadziej mówią wasze pisemka — okresie po Bożym Narodzeniu.

— Tak cudne to Boskie Dzieciątko, że trudno odejść od Niego. Okazało nam niewysłowioną miłość, wyciągnęło do grzesznego świata swoje niewinne rączęta, jakby zapraszało wszystkich do siebie, przyszli do Niego pastuszkowie i Mędrcy, pochylali się nad Nim Aniołowie, Symeon, Anna. Ale największym szczęściem obdarzało Najświętszą rodzinę — Boską swą Matkę i Przeczystego Józefa, przybranego Ojca.

Skromny domek w Nazaret stał się jakby niebem — gościł trzy najświętsze istoty na ziemi. Mały Jezus wzrastał w mą-

drości i łasce u Boga i ludzi. Choć był Bogiem, spełniał polecenia swych Rodziców, a oni wpatrywali się weń i uczyli się najwyższych, najwspanialszych cnót. Czy można sobie wyobrazić wznioślejsze życie?

Z piersi chłopców wyrwały się ciche westchnienia.

— Śliczne życie, nieprawdaż? — podjął ksiądz. Toteż Kościół św. podprowadza wiernych we Mszy św. i obrzędach do tego domku Nazaretańskiego i zachęca do brania zeń przykładu.

— Odwiedzcie Jezusa myślą w Jego domku. Przyjmie was bardzo uprzejmie i przyjrzyjcie się Jego dniu. Zapewne także jak w każdej kochającej rodzinie obdarzają was w okresie świątecznym miłymi prezentami, tak i Jezus zechce wam udzielić jakiegoś daru, jakiejś łaski. Będzie to pamiątka po odwiedzinach. Spojrzyjcie na Jego skarby; Znajdziecie tam i radość, która opromienia okres Bożego Narodzenia... i miłość względem rodziców, która tak odróżniała dom Jezusowy od innych mieszkań ludzkich... I gorliwość w pracy i w nauce, która z Jezusa czyni najmilszy wzór dla młodzieży... i cnotę pobożności...

— Jezus przedstawi wam to wszystko do wyboru. Porozmawiajcie sobie z Nim serdecznie i proście Go o radę, co dla was będzie najpotrzebniejsze. — To będzie najlepszy sposób uczczenia Boskiego Dziecięcia i uczestnictwa w roku kościelnym.

* * *

W tym jeszcze samym dniu każdy z gromadki chłopców klęczał wieczorem przed obrazkiem Boskiego Dzieciątka i jakoś niezwykłej z Nim rozmawiał. Dokonywali wyboru podarunków od Jezusa.

S. K.



W jasyrze

— Proś Boga, aby do tego nie doszło.

— Prawda i to. Nie pomiarkowałam się. Ale widok byłby to przedziwny, gdybyśmy dworu bronili. Tutaj strzały latają, tutaj rusznice huczą a tam tatarstwo do ucieczki się rzuca.



— Nie tacy oni do ucieczki skorzy. Wieszli, jaka karność u nich? Gdy jeden zemknie z pola, cały oddział śmiercią karzą.

— Staszku. A przecie nie tacy oni groźni. Pojrzyj na Azulewicza.

— Azulewicz od lat piętnastu w naszym kraju przebywa, to zupełnie insza sprawa. A i tak...

— No co?

— Szkoda gadać.

— To nie gadaj. Prosi cię kto? Ani słówkiem się nie odezwę. Ty mnie nie znasz. Jak sobie powiem, że pary z ust nie puszczę, to i dotrzymam. Taką już mam naturę, że jak co sobie postanowię, to słowa zdzierżę. A oni — ci Tatarzy, dawno ostatni raz na nas napadli?

— Ostatni raz pod Wiśniowcem przed siedmiu laty. Klęskę ponieśli znaczną.

— To i teraz, gdyby chcieli napaść, to samo ich spotka...

— Niewiada. Siła spustoszeń już u nas poczynili. A jak pierwszy raz nasz kraj naszli, bez mała przed trzema stami lat, kiedy to Henryk Pobożny pod Lignicą w boju z nimi poległ, to straszliwe wyrządzili szkody. Starych ludzi tysiącami w pień wycięli a co młodszych do jasyru pobrali.

— A co z tymi młodymi czynią?

— Ja wiem? Pewnikiem ich do posług używają i każą wiary swojej oraz mowy ojczystej się wyrzec.

— Jabym się nie wyrzekła. Niechby mnie zabili.

— Ja wiera także. Ale mają oni sposoby na nieposłusznych niewolników.

— Jakie?

—Biją, głodem morzą...

— Staszku. Uważ jedno. Taki Azulewicz siedzi u nas, jak u Pana Boga za piecem. Mahometa wyznaje, nikt nie kazał mu wiary swojej odstąpić.

— I w tym nasza wyższość nad Tatarami. Dzicz to i tyla. Ale może koniowi wytchnąć damy.

Zeskoczyli z konia, którego Staszek poklepał po szyi.

— Zacny koń. Dwoje nas tak dźwiga, ani potem nie okryty.

— Sen mnie morzy. Rychłoli będziemy doma?

— Mniemam, za godzinę niecałą.



— Cichaj — odezwała się naraz Bietka. — Zda się, głos jakiś słyszę...

— Przesłyszało ci się — rzekł Staszek.

— Ależ nie. Nadstaw ucha. O — słyszysz... jakby kto jęczał z daleka... Oj Staszku... może to wilkołak albo strzyga...

— Nie powiadaj byle czego. Duchów w lesie nie ma. Są tylko ludzie i zwierzęta.

— O... słysz... wyraźnie ktoś pojękuje...

Staszek nadstawił ucha, poczem pobiegł przed siebie. Bietka podążyła za nim. Teraz obydwoje słyszeli wzmagające się jęki. Dziewczyna drżała z lęku, ale szła za Staszkiem. Ten rozgarnął gałęzie i krzyknął.

— Wszelki Duch!... Co wam jest?

Wiesław Górecki

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ECHO MŁODEGO LASU

Bardzo serdecznie dziękuję wszystkim za życzenia świąteczne i noworoczne. Na Święta otrzymałem tyle listów, że trudno mi na wszystkie w tym numerze odpowiedzieć, ale nie zapomnę o nikim.

Zwłaszcza dziękuję za liściki tym, którzy napisali do mnie po raz pierwszy. Do nich należy **Emilcia Kłeczkówna** z tenczyńskiej Krucjaty oraz **Krucjata z Szamotuł**. »Jako mały i młody przedstawiciel Grodu Jasnogórskiego« napisał śliczny list **Kazio Polis**. Opisuje tak drogi każdemu polskiemu sercu Cudowny Obraz M. Boskiej Częstochowskiej i Jej siedzibę Jasną górę. Zapowiedział, że i nadal będzie się dzielił z Czytelnikami Mł. Lasu swoimi wrażeniami, zwłaszcza opisze pielgrzymki.

Bardzo szczęśliwym czuje się **Stefcio Janda z Katowic**, bo już od trzech lat należy do Krucjaty, do której wstąpił, mając lat 6. O swojej Krucjacie, która około swego sztandaru skupia 300 rycerzy i rycerk, dużo by Stefcio mógł napisać, ale sił by mu brakło, bo liczy zaledwie 9 lat. Miał 6 lat, kiedy zawitał po raz pierwszy do jego serduszka Jezus w Hostii.

Prócz tego za liściki dziękuję **Romkowi Uszok z Piotrowic, Poli Ceglowskiej ze Skierniewic** oraz **Kujawiance Stasi z Żabikowa**.



Napotykaliśmy w swej pracy na liczne trudności, ale dzięki Bogu zwyciężamy! Krucjata, taka szczupła na początku roku szkolnego, liczy obecnie przeszło sześćdziesięciu członków, w tym 28 chłopców. Do czerwca bieżącego roku zebrania odbywały się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. W miesiącach wakacyjnych zaś zbierała się dziatwa co tydzień w świetlicy, codziennie zaś grywała do upadłego z ks. Dyrektorem w siatkówkę, czarnego luda, kotka i myszkę i całą litanię innych gier.

Poważna praca zaczęła się z początkiem roku szkolnego. Dzieci przygotowały się w skupieniu na poświęcenie sztandaru. Osiemnastego września zebrały się przed ołtarzem w okół nowego sztandaru. Nie było wtedy w całym kościele człowieka, który by nie miał łzy w oczach, gdy z ust dziecięcych padły pełen zapału słowa: »Przyjmij nas Jezu — do grona rycerstwa swego — pobłogosław Panie, naszej Ojczyźnie... o serce Jezusa, króluj w szkołach naszych, króluj w narodzie naszym«. A w końcu zabrzmiało potężne hasło: Króluj nam Chryste — zawsze i wszędzie. — Pogoda była w tym dniu cudowna. Błękit nieba zazdrośnie współzawodniczył z błękitniejszymi odeń mundurkami rycerek, a słońce zaszło rumieńcem wstydu, że twarzyczki rycerzy i rycerek jaśniej niż ono świeciły. A akademia, jaką Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej urządziło specjalnie dla Krucjaty! Dzieci powiedziały wtedy: zobaczycie druhny, jak my akademię urządzimy na święto Chrystusa-Króla! I zabrały się do pracy. Kiedy ksiądz dyrektor albo pani instruktorka mówili, że próba będzie o czwartej, dzieci już conajmniej o drugiej szczebiotały pod oknami księdza. Taki im było pilno. Akademia zato wszystkim się podobała. W sali remizy strażackiej w Michałowicach szpilka nie upadłaby na podłogę, tak napełniona była widzami. Najwięcej chyba oklaskiwano nasze najmniejsze pociechy, które odtańczyły balet kotków. Teraz znowu praca wre. Ósmego grudnia pasowanie rycerzy, 24 grudnia opłatek w świetlicy, 26 zaś jasełka.

Mamy ładną bibliotekę i dzieci pilnie czytają. Chcą być bardzo mądre i bardzo dobre! Codziennie przed nauką przychodzą do kościoła i adorują Najświętszy Sakrament, by potem raźno zabrać się do nauki. Sądzę, że Polska nasza będzie miała pociechę z kochanych moich basałyków.

Ks. Schönwälder F.



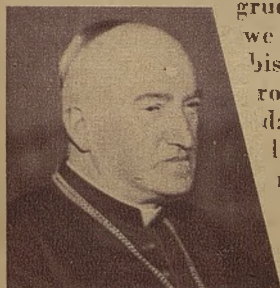




Króluj nam Chryste *zawsze i wszędzie*



▽ Smutną stratę poniosła Polska ze śmiercią dwóch arcypasterzy. Czwartego grudnia 1938 r. zmarł we Lwowie ks. arcybiskup Józef Teodorowicz znany kaznodzieja i pisarz katolicki. Jego płomienne słowa rozbrzmiewały po całej Polsce a dzieła jego pióra odbiły się głośnym echem nie tylko w kraju ale i za granicą. Piękne są zwłaszcza jego utwory o życiu Chrystusa.



▽ W piątek zaś 30 grudnia zmarł w Warszawie Ks. kardynał Al. Kakowski. Podczas wojny światowej za okupacji niemieckiej w 1917 roku był on członkiem Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego. 28 październ. 1918 r. Ks. kardynał Kakowski udzielił w Warszawie sakry biskupiej ówczesnemu nuncjuszowi apostolskiemu w Polsce a dzisiejszemu Ojcu św. Piusowi XI.



▽ Święta Bożego Narodzenia spędził pan Prezydent w zamku myśliwskim w Jaworzynie, która niedawno z częścią odzyskanych Tatr powróciła do Polski. Są tam wspaniałe tereny turystyczne.



▽ W Zakopanem powstało ostatnio wiele wspaniałych urządzeń turystycznych jak stadion przy skoczni narciarskiej, elektryczny wyciąg saniowy, hotel na Kalatówkach. Lecz najwięcej uczęszczaną i najbardziej popularną jest kolejka górska na Gubałówkę. (Fot. powyżej.)



▽ Czym jest dla nas św. St. Kostka, tym dla Belgii jest św. Jan Berchmans, patron ministrantów. Z okazji 50-lecia jego kanonizacji młodzież belgijska wzniosła mu ołtarz w Malines.

▽ Na mocy rozporządzenia nowego czeskiego ministra oświaty publicznej do szkół czeskich powraca krzyż na honorowe miejsce w salach szkolnych. Ponieważ przez długi czas symbol chrześcijaństwa był zapomniany, więc teraz wprowadza się go na sale bardzo uroczyście.

Warunki prenumeraty w 1938/9 r.

Prenumerata zbiorowa

Pojedynczy zeszyt zakupiony osobno 20 groszy.

Rocznie	3.20 zł
Półrocznie	1.80 „
Kwartalnie	1.00 „

Na każde 15 egzempl. dodaje się jeden bezpłatnie.

W sprawach prenumeraty adresować: WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY, Kraków, ul. Kopernika 26. PKO. nr 400.152. W sprawach redakcyjnych: Redakcja Młodego Lasu, Kraków, ul. Kopernika 26.

Ilustracje wykonała »Ars sacra«.

Redaktor: KS. STANISŁAW KUŹNAR T. J.

Za pozwoleniem Władzy duchownej. — Drukarnia Apostolstwa Modlitwy (Księży Jezuitów).

